OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr 7. Warszawa, Niedziela 21 luty 1937 r. Rok II

Szczęście pana starosty

Reportaż specjalnego wysłannika WIEM WSZYSTKO

Kielce, w lutym

Tytuł na pierwszy rzut oka może trochę za zagadkowy, lecz przestanie być zagadką, kiedy Czytelnik zechce cierpliwie artykuł ten przeczytać do końca, i przekonać się, co to jeszcze za okazy hodujemy na ojczystym gruncie w 19 roku odzyskania niepodległego bytu.

MIŁE MIASTO — KIELCE

Jesteśmy w przemiłym mieście Kielcach. Naprawdę, miłe, czarowne miasto. Przypomina nam się Żeromski, przypominają nam się jego dole i niedole, kiedy odarty, głodny i bezdomny snuł się po tutejszych ulicach, nim go nie zmógł tyfus i nim lepsza nie zaświtała mu dola. Miłe uliczki, piękny rynek, stare kościoły, i jakiś dziwnie romantyczny nastrój, wyzierający z tego wszystkiego — pogrąża nas w smętek tego, co było i co tak pięknie wyraził znakomity pisarz. Nie tylko zresztą on, chociaż uczynił to najpiękniej. Kielce i ziemia kielecka mają swój wielki ruch regionalistyczny. Miasto i ziemia, której jest stołecznym grodem, wydały wielu znakomitych Polaków, którzy mimo, że losy różnie nimi w życiu pokierowały — zawsze miłośnie o swym mieście i ziemi myśleli i zawsze ją kochali. Zjazdy Kielczan, to nie tylko wydarzenia towarzyskie, to etapy wielkie w życiu umysłowym i kulturalnym tej ziemi i jej miasta.

Wszystko tu się wydaje miłe, dobre, jakby pokryte sympatyczną patyną prowincjonalności, ale tej prowincjonalności, która nie jest synonimem zacofaństwa, lecz jej rasową odrębnością. I było by wszystko nadal piękne, czarujące i spokojne, gdyby... Co tu dużo mówić: województwo kieleckie od pewnego czasu niema szczęścia. Nie myślimy o Kieleckim Urzędzie Wojewódzkim, broń Boże; tam rządzi Pan Wojewoda Dziadosz, człowiek rozumny, dbały i energiczny, „the right man on the right place". Myślimy natomiast o starostwie powiatowym w Kielcach, a więc o urzędzie, znajdującym się tuż pod bokiem Pana Wojewody Dziadosza, i może właśnie dlatego wymykającym się z pod pola Jego widzenia, skierowanego na bardziej odległe punkty rozległego i socjologicznie urozmaiconego województwa. Tak się zresztą często paradoksalnie zdarza w życiu, że widzi się punkty bardziej odległe, a nie widzi się skaz bliskich.

Zgóry chcemy Czytelnika uprzedzić, że nie uprawiamy krytyki dla krytyki, że naogół niechętnie przystępujemy do „zajmowania" się osobistościami urzędowymi, a jeżeli już to czynimy, to każdy fakt, każdą okoliczność skrupulatnie badamy i sprawdzamy, i dopiero wówczas decydujemy się na wystąpienie. Słowem — czynimy tak, jak to nakazywał czynić Pan Składkowski w swoim znanym apelu skierowanym do prasy.

NIEDOBRY POCZĄTEK

Tym razem do wystąpienia skłoniła nas okoliczność, że o sprawie mówi całe miasto i powiat, że dalsze jej przemilczenie mogło by zadać straty interesowi publicznemu i podważyć powagę urzędu starościńskiego.

Bo chodzi o pana starostę Michała Füllera, zarazem przewodniczącego kieleckiego Wydziału Powiatowego. Pan Starosta Füller „nastał" w Kielcach w połowie czerwca 1935 r. Przybył z Nowego Targu, w województwie krakowskim, gdzie był wicestarostą. Nie wiemy, jakie stosunki panują czy panowały w Wydziałach Powiatowych w Małopolsce, sądzimy jednak, że pan starosta Füller dokładną ich ilustracją nie jest. Dość, że po przybyciu do Kielc, pan starosta, zamiast nawiązać żywy, bezpośredni kontakt z pracownikami podległymi sobie, aby możliwie wyczerpująco dla dobra służby wykorzystać ich zamiłowania, uzdolnienia, instynkty i t. p. cechy osobiste — z miejsca zaczął rządzić w sposób, brutalizujący pracowników, obrażający ich, maltretujący i do żywego oburzający; z miejsca — powtarzamy — zaczął rządzić w sposób niezwykle przykry, graniczący niemal z wyraźnym szkodnictwem. I jak Kielce Kielcami, poraz pierwszy w tamtejszym starostwie powiatowym rozległy się tak kwieciste wyrazy, jak „banda", „łajdaki"; „nocniki", „bujanie", i t. p. ozdobniki języka pana starosty Füllera, ozdobniki, nie nadające się do powtórzenia nawet w tak odważnym piśmie, jak „Wiem Wszystko". Ponieważ jednak uważamy, że zarówno stosunek pana starosty Füllera do pracowników, jak i język, którym się posługuje — mogą być uznane za rzecz drugorzędną, przeto, żeby nas nie posądzano, że zaczynamy od małostek — zaczniemy od spraw publicznych.

KONTAKT Z LUDNOŚCIĄ

Niema w Polsce nikogo, nawet dziecka, ktoby nie wiedział, że istnieją zarządzenia i okólniki wszystkich Ministrów Spraw Wewnętrznych, a Pana Premiera Składkowskiego w szczególności, nakazujące urzędom starościńskim, a panom starostom specjalnie, dbanie o bezpośredni i częsty kontakt z ludnością w celu poznawania jej potrzeb i należytego ich zaspakajania, oczywiście w rozsądnych granicach możliwości. Nie popełnimy błędu, jeśli napiszemy, że zapewnienie ludności szybkiego i bezpośredniego kontaktu z panami starostami było pewnego rodzaju, słabością Pana Premiera Składkowskiego, słabością, której by należało sobie życzyć i w wielu innych dziedzinach życia publicznego.

Dla pana starosty Füllera nie istnieje Pan Premier, nie istnieją zarządzenia i okólniki Pana Premiera, nie istnieje ludność, nie istnieją jej potrzeby i troski, których tak pełno każdy z nas ma dzisiaj, i z którymi chodzi do władzy w nadziei, że sobie ulży w tym trudnym życiu. Otóż w starostwie powiatowym w Kielcach jest inaczej. Jak wynika z księgi przyjęć interesantów, cały ciężar utrzymania kontaktu z ludnością, cały ciężar tego, co jest najbardziej odpowiedzialną pracą w starostwie zarówno dla ludności, jak i dokładnego informowania władz wyższych, pan starosta Füller przerzucił na wicestarostę p. Schneidra i referenta bezpieczenstwa publicznego, p. Wojciechowskiego. Może ktoś powie, że trudno: widocznie do pana starosty zgłaszało się mało interesantów...

Otóż — nie. Owszem, o ile możności nie chcieliby z nim nic mieć wspólnego pracownicy starostwa i Wydziału Powiatowego. Ale to inna rzecz, i będziemy o niej pisali. Natomiast brak interesantów do pana starosty Füllera należy wytłómaczyć tym, że „za Boga" nikt się nie odważy do niego wejść, nawet w ciągu tych dwu zaledwie godzin (10—12), jakie pan starosta oficjalnie wyznaczył na przyjęcia. I nie jest to żadna przesada. Mogą coś o tym powiedzieć woźni starostwa — Kania, Olczyk czy Nikiel, lub woźny Wydziału Powiatowego, Stanek. Mogliby powtórzyć wiekopomne słowa pana starosty, że jeżeli do niego „kto wejdzie, to łeb rozbiję popielniczką"...

Bardzo znamienne pod tym względem wydarzenie było we wrześniu r. ub. Otóż woźnemu Stankowi, udającemu się do gabinetu pana starosty, referent p. Gąsior dał czyjś bilet wizytowy, aby zameldował go panu staroście. Kiedy posłuszny woźny wykonał polecenie, pan starosta wsiadł na niego: „Wyrywać stąd" i jeszcze coś bardziej soczystego. „Wyrwał" więc woźny, i zdenerwowany powiedział, że spotkała go bura. Przybyły interesant poczęstował woźnego dwoma papierosami, a obdarzając nimi Bogu ducha winnego woźnego, powiedział: „Macie to, jako rekompensatę za to, coście mieli o mnie u pana starosty". Tym interesantem był referent Wydziału Wojskowego Urzędu Wojewódzkiego, p. Tobiasiewicz, a towarzyszył mu wtedy p. Sarkan, referent mobilizacyjny starostwa.

NIEWŁAŚCIWE RADY

Jeżeli ten przykład, ilustrujący kontakt pana starosty Füllera z interesantami, jest niewystarczający, przytoczymy inny, chociaż wolelibyśmy go nie przytaczać. „Napastowany" przez „natrętnych" interesantów, których przecież nikt inny poza panem starostą nie mógł załatwić, p. Füller, wysoki funkcjonariusz państwowy, radził woźnemu Niklowi, „żeby sobie kupił nocnik i siadł na nim przy drzwiach gabinetu starościńskiego i pilnował, żeby nikt nie wchodził". Nie trzeba więc się dziwić, że niema takiego śmiałka w starostwie, który by się odważył mącić spokój urzędowy pana starosty.

W ogóle, całe postępowanie p. Füllera jest tego rodzaju, iż nie cechują go wielkie skandale, ile raczej moc codziennych skandalików, skandalików obrzydzających życie, zatruwających atmosferę pracy, wprowadzających na teren starostwa metody i sposoby, które by raczej nadawały się nie do jakichś dociekań administracyjno-dyscyplinarnych, lecz do badania lekarskiego dla przekonania się, ile człowiek, nie mający samowiedzy swego postępowania, nie zdający sobie sprawy z tego, co i jak robi i mówi — może narobić szkód, i jak jest mało kulturalny, jeżeli już chcemy uniknąć innych określeń.

APROBATA I PODPISYWANIE PISM

Te wszystkie cechy w p. Füllerze występują również przy aprobowaniu i podpisywaniu pism urzędowych. Więc dzieje się to tak, że codziennie, o godz. 8 rano, pan starosta „rekwiruje" kancelistę Wydziału Powiatowego, p. Józefa Szymanka, z teczkami, zawierającymi dokumenty do aprobaty lub podpisu — na jakieś 3-4 godziny, i w jego asyście załatwia te uciążliwe czynności. „Zaanektowany" biedny urzędnik nie śmie pisnąć panu staroście, że w czasie, kiedy on niepotrzebnie traci czas na asystowanie panu staroście, zalega praca, kuleje rejestracja i ekspedycja pism urzędowych, że cały tok pracy ulega zahamowaniu i dezorganizowaniu. Oczywiście wynik ostateczny jest ten, że biedny urzędnik, sterroryzowany takim postępowaniem pana starosty, musi odrabiać zaległości w godzinach popołudniowych i wieczorowych, pracując po 10 godzin dziennie, wbrew, naturalnie, przepisom, i zmieniając godziny urzędowania.

Postępowanie pana Füllera, jeśli chodzi o aprobatę pism, można już ująć w 2 systemy: a) albo pan starosta odrazu je aprobuje, albo b) drze je wraz z czystopisami, a nierzadko i innymi dokumentami, rzuca do kosza albo na podłogę, a czyni to również z takimi dokumentami, jak asygnacje rachuby Wydziału Powiatowego, których żałosne szczątki można jeszcze odszukać w aktach. Nie ma tu tego sympatycznego zwyczaju dania podwładnemu wskazówki, poprawienia, uzgodnienia, uzupełnienia, czy czegoś w tym rodzaju, czegoś, co ostatecznie służbie na dobre wychodzi. Zdarzają się przy tym rzeczy zgoła niezrozumiałe, które wyjaśniłaby tylko chyba ekspertyza lekarska.

Więc np. instruktor ogrodnictwa Wydziału Powiatowego, p. Lucjan Piwowarski, działając na podstawie uchwały Wydziału Powiatowego z dn. 12 lipca 1936 r. w sprawie oszacowania komisyjnego warsztatów tkackich w Podzamczu Chęcińskim, i biorąc pod uwagę terminowość sprawy, przedstawił panu staroście delegację poprzednio zaaprobowaną przez sekretarza Wydziału Powiatowego. Pan starosta podarł delegację i wraz z całymi aktami sprawy rzucił w stronę p. Piwowarskiego... W pół godziny później kierownik rachuby Wydziału Powiatowego, na polecenie pana starosty,

(Dalszy ciąg na str. 2).

Zakłamanie obcych agentur

Polskie Tow. ubezpieczeń przed historycznymi rozstrzygnięciami

Nasze stosunki ubezpieczeniowe są okropne. Okropne z dwojakiego punktu widzenia: w olbrzymiej większości ubezpieczenia „nasze" są opanowane przez kapitały zagraniczne, które, rzecz prosta, solidnie za swe usługi każą sobie płacić, traktując ubezpieczenia tylko jako geszeft handlowy, z drugiej zaś strony — sposoby i metody pracy towarzystw ubezpieczeniowych są tego rodzaju, iż szerzą one barbarzyństwo ubezpieczeniowe, zniechęcają społeczeństwo do tej akcji przezorności, która powinna świecić dobrym przykładem.

Tak więc, zarówno ze stanowiska etycznego, jak i społeczno-gospodarczego, tego, co się dzisiaj dzieje w „naszych" towarzystwach ubezpieczeniowych za obraz budujący uważać nie należy. Wprawdzie, pod wpływem tego rodzaju stosunków wydano pewne zarządzenia, wprowadzające kontrolę elementu, zajmującego się akwizycją ubezpieczeń, lecz, jak wykazuje praktyka, zarządzenia te okazały się niewystarczające, bo, rzecz zrozumiała, nikt jeszcze i nikogo wprowadzeniem, chociażby najmądrzejszych przepisów, kultury nie nauczył. A właśnie, w najgorszym razie, ubezpieczeniom naszym przydałoby się trochę kultury.

DOBRA TRANZAKCJA i IDEA

Ubezpieczeniami zajmujemy się nie od dziś. W swoim czasie poświęciliśmy im sporo miejsca. Odłożywszy pióro na bok, obserwowaliśmy tylko, co dalej w tych stosunkach dziać się będzie. I oto doczekaliśmy się wydarzenia, które może stać się zwrotnym momentem w gospodarce naszych ubezpieczeń. Doczekaliśmy się tego, że 119 Komunalnych Kas Oszczędności kupiło za 75.000 portfel akcyj dawnego Tow. Ubezpieczeń „Przyszłość", kupiło za tyle przedsiębiorstwo, które jest warte ok. miliona zł., i powołało do życia Polską Ubezpieczeniową Spółkę Akcyjną „Przyszłość".

Nie znamy nikogo w obecnej „Przyszłości", aniśmy się też nikogo nie pytali, co dalej zamierza ona robić, jakie ma zamiary, plany, słowem— jak sobie wyobraża swoją działalność na terenie ubezpieczeń. Lecz rozważywszy sprawę bliżej i dokładniej, zapoznawszy się z drukami, wydanymi przez nową „Przyszłość" i przeczytawszy enuncjacje „Kuriera Poznańskiego" i „Gazety Polskiej" na ten temat, a więc enuncjacje 2 organów, reprezentujących dwa różne odłamy opinii publicznej, doszliśmy do przekonania, że sprawa zasługuje na to, aby ją popierać całym sercem i bez zastrzeżeń.

Mówił kiedyś Marszałek o „obcych agenturach", mający na myśli Polaków, służących czy wysługujących się obcym interesom, takim Polakom, co to głoszone przez siebie „prawdy" ubierają zawsze w „interes państwowy", co to chcą być więcej katolikami od samego papieża. Otóż, historia z „obcymi agenturami" powtarza się obecnie przy kładzeniu podwalin pod działalność Polskiej Ubezpieczeniowej Spółki Akcyjnej „Przyszłość".

KRAJOWA POTĘGA UBEZPIECZENIOWA

O co chodzi? Otóż, 119 Komunalnych Kas Oszczędności, zostawszy założycielami wymienionej Spółki, założycielami, reprezentującymi najczystszej wody kapitał polski i krajowy, niewątpliwie zechcą współdziałać na polu ubezpieczeniowym z założoną przez siebie Spółką, niewątpliwie zechcą swoje instytucje oddać do dyspozycji tej Spółki w takim czy innym charakterze, powiedzmy — w charakterze agentur. Mało tego: działając w 119 ośrodkach kraju i reprezentując milionowe środowiska obywateli, oraz rozporządzając wpływami moralnymi i emanując naokoło siebie — niewątpliwie zechcą one te wszystkie walory wykorzystać w działalności, stworzonej przez siebie Spółki.

Ponieważ napewno tak będzie, znajdujemy się w przededniu powstania w Polsce czysto polskiej, krajowej instytucji ubezpieczeń, instytucji, która może, ze względu na swój aparat organizacyjny i wielkie wartości moralne, stać się nie tylko największą w Polsce tego rodzaju instytucją, lecz może również przyczynić się do uzdrowienia naszych stosunków ubezpieczeniowych.

Wyobraźcie sobie: 119 agentur ubezpieczeniowych, „pewność, zaufanie", „tajemnica i bezpieczeństwo", to coś, na co sobie nie może pozwolić żadne z dotychczas działających w kraju towarzystw ubezpieczeń. Poprostu — fakt o znaczeniu niecodziennym.

ZAKŁAMANIE „OBCYCH AGENTUR"

Nie dziwimy się przeto, że odrazu musiały odezwać się „obce agentury", że, jak zwykle w takich razach, ordynarne zamiary i myśli pokryto błyskotkami trosk o interes państwowy, publiczny i t. p. akcesoriami dekoracyjnymi.

Dawna, feniksowska „Przyszłość" mogła pracować, i pies z kulawą nogą nie zwracał na nią uwagi. Wszystko było dobrze. Lecz kiedy chwiejącą się „Przyszłość" kupiły ręce polskie, i to ręce K.K.O., zaprawionych w dobrej gospodarce, odrazu powstał rejwach, krzyki o „etatyzacji" i t. p. alarmy, tak, jakgdyby tworzono coś nowego, podczas kiedy tylko wskrzesza się stare i powierza się je w godne ręce kapitałów polskich. Milczało się więc wtedy, kiedy działały wpływy „międzynarodowe, ale krzyczy się, kiedy lepiej chcą pracować swoi, swoje Komunalne Kasy Oszczędności. To jest moralność tych panów!

OBCY — DOBRZE, SWOI — NIE

I gdyby tylko to: ale nie tylko: w tumanieniu opinii publicznej dochodzi się do zupełnej perfidii. Powiada się, że towarzystwa ubezpieczeń, to przedsięwzięcia ryzykowne, niepewne, nierentowne, lecz w tym samym czasie akwizytorzy tych panów, którzy takie brednie inspirują w prasie, znanej ze zmienności poglądów, ostrzą języki wobec pozyskiwanej przez nich klienteli i zużywają całe arsenały środków na przekonanie tej właśnie klienteli, że towarzystwa ich są pewne, „murowane", bogate i t. d. Wtedy, znowu wszystko jest dobrze, tylko kiedy Komunalne Kasy Oszczędności powołują do życia instytucję ubezpieczeniową — wtedy jest źle, wtedy cały interes ubezpieczeniowy jest diabła wart. To też moralność „obcych agentur"!

Perfidia, wreszcie, tych troskliwców dochodzi do tego, że aż — z głupia frant — zapytują, czy to, co robią w dziedzinie ubezpieczeń Komunalne Kasy Oszczędności „jest konieczne i gospodarczo uzasadnione", co tak wygląda, jakgdyby ktoś zapytywał, czy jest konieczne i gospodarczo uzasadnione spolszczenie polskich kapitałów ubezpieczeniowych...

GRA NA EGOIZMACH

Trzeba przyznać, że gra jest obliczona chytrze: ubezpieczenia przyjmuje już P.K.O., przyjmuje również Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych. Otóż, inspiratorzy „obcych agentur" robią dywersję. Myślą sobie: zastraszymy P.K.O., zastraszymy i P.Z.U.W., że na rynek wtacza się ich nowy konkurent pochodzenia publicznego, weźmiemy ich do pomocy, i tak uda nam się utrącić K.K.O. z ich „Przyszłością". Myślą, że wywołają egoizmy w tych instytucjach, zagrają na ambicjach władzy ich kierowników... Lecz się srodze omylą. I P.K.O. i P.Z.U.W. są instytucjami, wywodzącymi się z tego samego pnia: z troski o polską rację stanu... I gdyby miało powstać jeszcze kilka intytucyj tego typu, co przedsięwzięcie, zainicjowane przez K.K.O., zawsze się znajdzie dla nich miejsce, jak się znajdzie dla każdego kto przyszedł z uczciwym zamiarem pracy dla kraju, dla krajowych kapitałów i krajowego interesu.

RUSZAĆ PEŁNĄ PARĄ!

Jedno nas tylko dziwi: dlaczego dotychczas Polska Ubezpieczeniowa Spółka Akcyjna „Przyszłość" nie rozpoczęła pełnej działalności, dlaczego nie wzięła się jeszcze do pracy, aby czymprędzej rozpocząć dzieło uzdrawiania stosunków na polskim rynku ubezpieczeniowym?

Czyżby sugestie rekinów zagranicznych i mącicieli były tak rozległe, iż zdołały dotrzeć nawet tam, gdzie powinien panować chłodny rozsądek, spokojna rozwaga, a wszystko to podyktowane naczelną zasadą: rzeczywistej, bezinteresownej troski o polską rację stanu?...

Bo, doprawdy, rzecz jest zdumiewająca: są kapitały, jest atmosfera, są ludzie, którzy zdali piękne egzaminy ze swej gospodarności, słowem — jest wszystko, i wszystko w najlepszym gatunku... Na cóż więc czekać, i ośmielać naszych wrogów gospodarczych do zakłamywania opinii publicznej i wmawiania w nią, że białe jest czarne.

Polska Ubezpieczeniowa Spółka Akcyjna „Przyszłość" (możeby tak wyrzucić ten tytuł, a wprowadzić jakiś inny lub skrót o brzmieniu, dostępnym dla powszechnego zapamiętania) powinna natychmiast ruszyć pełną parą!

Prz. W.

(Dokończenie ze str. 1).

kazał pojechać p. Piwowarskiemu do Podzamcza Chęcińskiego. No, i co o tym sądzić?

SPRAWY PRYWATNE...

Albo przeprawy p. Aleksandra Grabińskiego, b. sekretarza Wydziału Powiatowego, posłanego na emeryturę?...

Było tak: miał się odbyć we Lwowie Zjazd Powiatów. Delegatem Wydziału Powiatowego Kieleckiego wybrano inż. Antoniego Lenartowicza. Na podstawie uchwały Wydziału chodziło o opracowanie na Zjazd referatu w sprawie zwolnienia gmin wiejskich od obowiązku płacenia dodatku mieszkaniowego nauczycielstwu szkół powszechnych. Co robi pan starosta? Drze w tej sprawie opracowany referat przez p. Grabińskiego, w obecności młodszego odeń urzędnika, p. J. Szymanka, odmawia delegacji inż. Lenartowiczowi i podpisuje ją dopiero na skutek interwencji Pana Wice-Wojewody Kieleckiego, a wreszcie oświadcza, że sprawę zwolnienia gmin wiejskich od omawianego obowiązku da się załatwić prywatnie... Ostatecznie, Zjazd we Lwowie uchwala odpowiedni wniosek w tej sprawie, a pan starosta ma możność przekonania się, że tego rodzaju kwestyj nie załatwia się prywatnie. Szczątki podartego referatu spoczywające w aktach Wydziału Powiatowego wystawiają mu tylko smutne świadectwo.

DWIE MIARY DLA OSZCZĘDNOŚCI

Inna rzecz: nie do pomyślenia jest, aby Wydział Powiatowy był bez maszynistki, kiedy ta wyjechała na urlop. Kancelista p. J. Szymanek pisze raport w tej sprawie do pana starosty. Ten drze raport, rzuca go ze złością na podłogę i odmawia przyjęcia zastępczej maszynistki, powodując niesłychane zaległości w pracy i hamując bieg urzędowania. A czyni to, podobno, w imię oszczędności, co mu nie przeszkadza, że wraz z referatem Nr. Roln. 62/36 drze matrycę do powielania okólnika do gmin wiejskich w sprawie klęsk żywiołowych oraz formularz Powiatowego Zarządu Drogowego w sprawie kart i tablic rowerowych, tłoczony na tejże matrycy, właśnie ze względów oszczędnościowych; drze, wreszcie, arkusz zbiorczy ze sprawozdań kwartalnych gmin wiejskich o klęskach żywiołowych...

Dość na dzisiaj. Pisanie tego rodzaju rzeczy nie sprawia nam przyjemności. Jeżeliśmy zaczęli jednak pisać, to tylko dlatego, że sprawa przeniknęła już poza mury starostwa, że w najwyższym stopniu drażni ona opinię publiczną, szczerze życzącą Panu Premierowi powodzenia w Jego pracach na polu uzdrawiania naszych stosunków.

Jan Karny

Skierniewice — dzielne miasto

Warto zwrócić uwagę na leżące w pobliżu Warszawy miasto Skierniewice, które objął burmistrz Franciszek Filipski w warunkach b. zagrożonych i przy źle zorganizowanej administracji miejskiej, szereg zobowiązań krótkoterminowych na sumę 300.000 zł. utrudniało normalną gospodarkę.

Zadłużenie miasta w stosunku do jego majątków i dochodów jest niewielkie. Nie mniej jednak zadłużenie to jest dokuczliwe z tego względu, że cały dług Skierniewic jest krótkoterminowy. Prawie co dzień płatne krótkoterminowe należności utrudniają niezwykle prowadzenie gospodarki miasta i wykonywanie bieżących zamierzeń budżetowych. Dlatego też dla normalizacji dalszej gospodarki miasta i uzdrowienia jego finansów niezbędne jest skonwertowanie wszystkich obecnych drobnych długów na pożyczkę długoterminową.

W dotychczasowej swej działalności miasto zbudowało szkołę powszechną w r. 1935 kosztem 120.000 zł., remizę strażacką, kosztem 40.000 zł., baraki dla bezdomnych kosztem 20.000 zł. Największym dorobkiem Skierniewic są ulice i bruki, zabudowano ich setkami mtr. kw. Zrobiono szereg nowych ulic, przebrukowano stare. Współpraca z radą miejską jest harmonijna.

Obecnie przystępują Skierniewice do budowy wodociągów i kanalizacji. Plany są gotowe, opracowuje się plan regulacji rzeki „Skierniewki".

Obecny burmistrz p. Franciszek Filipski urzęduje od 1931 r. i jest zarazem prezesem Zw. Pracowników Samorządu Terytorialnego. RP.

Rozbudowano poza tym gimnazjum Państwowe, w którym miasto bierze żywy udział.

(L.)

Przyjacie pisma zyskuje prenumeratorów

Co to za PAN?

Laboratorium smakołyków antysemickich

Moda przychodzi na wszystko. Moda więc bywa na przeboje, na girlsy, na krawaty, na postęp i Ligę Narodów, na wyścigi strusiów, grypę bądź hiszpankę, a teraz mamy

modę na przymiotnik „narodowy“,

który też odmienia się w przeróżny sposób.

Mamy stronnictwa i związki narodowe, mamy radykalizm, socjalizm i komunizm o barwie narodowej, ale nie mieliśmy dotąd ajencji narodowej.

Właściwie mamy P. A. T.-iczną, AW, ATE, PIP-a, PAP-a, KAB-a, AS-a, ale do tej bogatej kolekcji ajencyjnej przybył nowotwór o niebyle jakiej nazwie:

„Prasowa Ajencja Narodowa, czyli P. A. N.,

a specjalnością tej niezbyt poważnej, a bodajże poważnie deficytowej ajencji jest

przyrządzanie dla niewybrednych dzienniczków z prowincji wszelkiego gatunku smakołyków antymasońskich,

podawanie po raz setny i sto pierwszy wielokrotnie odgrzewanych kawałków z wykrywaniem coraz to nowych lóż masońskich,

odsłanianie zupełnie niezasłoniętych panów z „Rotary Clubu“,

którzy na widoku publicznym ośmielają się za swoje pieniądze ucztować w restauracji Hotelu Europejskiego w Warszawie i nie chcą zapraszać ex-przemysłowca a

właściciela P. A. N.-a pana Henryka Otto,

wreszcie specjalizacja w zakresie żydożerczym.

Działalność P. A. N.-a nawet już przejrzeli ci, których lubo głaszcze każda rzecz, o ile pisze się nierozłącznie z przymiotnikiem „narodowy, narodowa i narodowe“, bowiem komunikaty P. A. N.-a coraz rzadziej zaglądają na szpalty tych pism...

P. A. N. właściwie

jest oseskiem prasowym,

bowiem narodził się na jesieni roku ubiegłego, bynajmniej nie jako impreza partyjna lub grupowa, ale pewnego prywatnego chemika, który nazywa się Henryk Otto, a zamieszkuje w Warszawie, przy ulicy Czerniakowskiej 196 m. 4.

Wobec tego, że wielu nazwa może wprowadzać w błąd — przeto godzi się zapytać kierowników prasy narodowej, czy rzeczywiście właścicielem Prasowej Ajencji Narodowej był

tenże sam pan Henryk Otto, który szerzył hitleryzm na polskim G. Śląsku

i tworzył tam grupy t. zw. narodowych socjalistów i ogłaszał buńczuczne programy?

W ajencji tak „wybitnie“ polskiej i nacjonalistycznej

główną rolę odgrywać miał Ukrainiec Kotorowicz,

główny reporter i dostawca materiałów antysemickich?

W ajencji tej, mieniącej się być katolicką bardziej niż sam papież, obowiązki woźnego spełniał pewien

kandydat na duchownego

w jakimś znów narodowym kościele, a kiedy mu zwlekano z zapłatą, rozgniewał się na „dyrektora“ i wyjechał na prowincję... na parafię?

W ajencji funkcje naczelnych publicystów spełniają pp. Ziemski, czyli Otto, oraz sławny już synarchista i fanatyczny ekonom — Lista Brodzic-Lipiński, którego np. ABC wyśmiewa, ale znów z drugiej strony drukuje ajencyjne notatki?

W ajencji raz się zwalcza Żydów, ale z drugiej strony wespół z jednymi Żydami smaruje się drugich Żydów, jak to miało miejsce w sprawie z ubezpieczeniami?

Tak byśmy mogli pisać bez przerwy o Prasowej Ajencji Narodowej, która chociaż się wspiera na takich filarach jak p. Henryk Otto — „dyrektor“ i Adam Kwiatkowski — redaktor do odpowiadania, w ciągu dwumiesięcznej ledwie egzystencji może tylko lawirować na prowincji, gdzie jeszcze wiele pism nie zdążyło się zorientować, ale w Warszawie już się Prasową Ajencją Narodową poważnie zainteresował Pan Prokurator Sądu Okręgowego w Warszawie, konfiskując jeden z numerów i w sprawie niewłaściwej krytyki pożyczki rałncuksiej pociągnął p. Kwiatkowskiego Adama do odpowiedzialności karno-sądowej.

Ostatnio znów władze dopatrzyły się,

że Prasowa Ajencja Narodowa poprostu „odrzyna“ „kawałek“ po „kawałku“ z pewnej skonfiskowanej książki o masonerii

i wiadomości te rozsyła około 160 dziennikom w Polsce, nie troszcząc się zupełnie o zapłatę...

Ponieważ takie upowszechnianie na raty utwory skonfiskowanego nie stanie się przyczyną przedstawienia p. Otto przez wydział prasowy Komisariatu Rządu na m. st. Warszawę do jakiegoś odznaczenia, ponieważ zatrudnianie Ukraińców w „narodowej“ ajencji zapewne

nie przypadnie do smaku

ani p. Gluzińskiemu Tadeuszowi z ABC, ani p. Strońskiemu Stanisławowi z Kuriera Warszawskiego, ani p. Majewskiemu Stanisławowi z „Gońca Warszawskiego“, ani też reszcie prasy nacjonalistycznej, ponieważ losem pokrzywdzonej maszynistki już się zajął podobno i sąd pracy i inspekcja pracy, ponieważ stało się tajemnicą Poliszynela, że w gronie zacnej kompanii P. A. N.-a są

zacni antysemici z pod znaku pana Filipowicza,

Partii Pracy, polskich radykałów i nawet sarmackich narodowych socjalistów na czele z synarchistą Brodzic-Lipińskim, należy się spodziewać, że w niedługim czasie nastąpić musi jakiś exoddus.

A teraz końcowe pytania: czy pan Otto, przybyły niedawno z G. Śląska, niedoszły führer polskich „narodowych socjalistów“, jest dziennikarzem, czy też zręcznym przedsiębiorca.

Skąd p. Otto czerpie pieniądze na opłacanie czteropokojowego apartamentu, utrzymywanie licznego sztabu redaktorów i redaktorek, maszynistek, gońców, woźnych, redaktorów odpowiedzialnych i różnych dostawców „szlagierów“. Kto na to daje pieniądze? Jak się nazywają ci naiwni, bo prasa polska wiadomościami P. A. N.-a prawie że się nie interesuje. Zresztą, kim są ci „naiwni“, może nie byłoby tak trudno powiedzieć...

W każdym razie bardzo przepraszamy prasę „narodową“, że spotkał ją jeszcze jeden zawód z dostawą „żydożerczych“ smakołyków...

Kto jednak będzie szukał zaopatrzenia prasowego u synarchistów, temu naprawdę nie zazdrościmy.

Oko.

Tajemnica skrytki pocztowej

Drogi ucieczki dochodów Skarbu Państwa

W wielu pismach aż roi się od ogłoszeń, jakichś tajemniczych, zakonspirowanych firm, które, zamiast swego adresu, podają tylko numer... skrytki pocztowej.

Firmy te naturalnie wpychają swym klientom nieprawdopodobną wprost tandetę, licząc za groszowe bezwartościowe przedmioty, poważne kwoty.

Głównym przedmiotem handlu tych „skrytkowych“ firm są straszaki. Blaszki w formie rewolwerów, łatwo się psujące, sprzedawane są naiwnym w cenie kilku lub kilkunastu złotych.

Jak olbrzymie znaczenie ma reklama prasowa, najlepszym tego dowodem jest właśnie istnienie tych zakonspirowanych tandeciarskich firm.

Ogłaszają się one w każdym piśmie, które, pozbywszy się skrupułów, zechce przyjąć ich ogłoszenie.

Zachęcając więc w swych reklamach do nabywania pięknych „straszaków“, licznych „naukowych“, a zwykle pornograficznych. książek, proponują kupno pięknych „pocztówek“, ba, nawet w okresie Bożego Narodzenia, ozdób na choinkę.

Czytelnicy pism, zbyt dowolnie przyjmujących ogłoszenia, czytają te reklamy, nieraz ilustrowane odpowiednimi kliszami i... piszą zamówienie i przesyłają pieniądze na tajemniczy numer skrytki pocztowej.

Czytelników tych jest wielu — wiele pieniędzy otrzymują te tandetne firmy.

Jak olbrzymie dochody mają te „skrytkowe“ firmy zilustrują dane, dotyczące jednej z nich.

Otóż, jest w Warszawie niejaki Jakubowicz, który na to nazwisko ma skrytkę nr. 453. Ten sam numer ma zresztą „firma“ Perfectwach. Na nazwisko Goldwassera jest skrytka nr. 864, a na „firmę“ Montre — 827.

Co dzień jednak na pocztę po pieniądze, wpływające na te skrytki, zjawia się p. Jakubowicz. I zbiera pieniądze. I to ile!

Wymieńmy kilka cyfr:

Tak więc w dn. 1 lutego ub. r. zainkasował on 451.48 zł., które nadeszły za „towar“. W dn. 3 lutego ub. r. otrzymał na wszystkie cztery skrzynki sumę 622.58 zł. W dn. 5 t. m. — 447.31 zł., a 6 lutego 508.14 zł.

Powiecie, że wyjątkowy miesiąc, dobrze.

Bierzemy dzień 1 IV 36 r. — 561.68 zł., w dn. 2/IV 36 r. — 539.52 zł., w dn. 3/IV 36 r. — 543.08 zł..

Jeszcze nie wystarczające dane o kolosalnych zarobkach tych tandeciarskich, zakonspirowanych „firm“. Cytujemy więc otrzymane pieniądze w innych miesiącach, trafiając dnie na „chybił trafił“.

W dn. 3/IX 36 r. zainkasował p. Jakubowicz — 511.01 zł. W dn. 11 tego miesiąca — 421.59 zł. Dn. 14 t. m. 724.16 zł. Dn. 16 t. m. 526.18 zł. Dn 28 t. m. 770.68 zł.

Takie oto są przeciętne zarobki firm w skrzynkach pocztowych. Firm, o których istnieniu niewiele wiedzą władze skarbowe. Firm, które, nie ulega najmniejszej wątpliwości, nie spełniają należycie swych zobowiązań względem Skarbu Państwa.

Przeciętne obroty 500 złotych są wspaniałymi wprost dla handelku ze straszakami, bezmyślną lub pornograficzną literaturą, lub też tandetę ozdobniczą. Nie rzadko jednak, jak np. w dn. 15/IV 36 r. wpływa na 4 skrzynki p. Jakubowicza suma 1719.49 zł.!

Nie chodzi nam wcale o tego Jakubowicza, bo takich Jakubowiczów jest wielu. Chodzi nam jednak o to, czy nie znalazłby się sposób na ochronienie ludzi bezkrytycznych przed właśnie tymi Jakubowiczami, wydobywają ymi na tajemnicze firmy numerów skrytek pocztowych ciężko zarobione pieniądze za bezwartościowe przedmioty?

Może znalazłby się wreszcie urząd lub człowiek, któryby mógł położyć temu kres. Mamy wrażenie, że jest na to bardzo prosta rada. Niech się tymi skrzynkami zainteresują władze skarbowe.

Niewątpliwie wiele wtedy tych wspaniale prosperujących firm zniknie z horyzontu.

Na marginesie, warto jeszcze dodać, że niejako lejb-organem „Jakubowiczów“ było arcydzieło wydawnicze Reklamy Pocztowej — „Łącznik Pocztowy“.

Ten.

Na lądzie i w powietrzu

Jako dalszy ciąg danych, które podaliśmy poprzednio, co do stanu liczebnego armii poszczególnych państw, tak w czasie pokoju, jak i na wypadek mobilizacji, przytaczamy cyfry, określające liczebność samolotów bojowych, t. zw. pierwszej linii, oraz cyfry obrazujące nikły stosunkowo, w porównaniu z ilością bojowych maszyn powietrznych, rozwój samolotów handlowo-pocztowych

Przy każdym z państw zamieszczamy ponadto i wysokość liczebną załogi.

	załoga	maszyn wojsk.	samolot. handl.
Niemcy	**25.000**	**1.620**	**230**
Belgia	**2.500**	**250**	**—**
Francja	**40.000**	**1.230**	**150**
W. Brytania	**46.000**	**1.500**	**130**
Grecja	**3.250**	**120**	—
Holandia	**1.500**	**400**	—
Italia	**26.000**	**1.700**	**80**
Z. S. R. R.	**85.000**	**3.300**	**—**
Rumunia	**10.500**	**450**	**—**
Szwajcaria	**1.500**	**160**	**—**
Czechosłowacja	**6.600**	**570**	**—**
Turcja	**8.400**	**370**	**—**
Jugosławia	**5.000**	**520**	**—**
Stany Zj. A. P.	**35.000**	**2.200**	**500**
Japonia	**15.00**	**520**	**150**

Dla wyjaśnienia zaznaczamy, że cyfry dotyczące samolotów pocztowo-handlowych naprowadziliśmy tylko odnośnie tych państw, które mają wśród reszty państw świata największą ilość tego rodzaju aparatów lotniczych.

(a).

STANISŁAW TARGOWSKI

Zdarzenie prawdziwe

Sala sądowa. Na ławie oskarżonych dwóch podsądnych: typowe degeneraty z rodzaju rzezimieszków, ani zbrodniarze o wielkim stylu, ani włamywacze o sławie międzynarodowych urke... Trybunał trzech sędziów, każdy innego rodzaju, młody oskarżyciel publiczny o niespokojnym wejrzeniu i lekkiej tremie. Dwaj młodzi adwokaci w togach, obrońcy z urzędu...

Publiczności niewiele. Przez wysokie okna wpadały promienie słońca i wąskimi smugami kładły się naukos sali, załamując się na poręczach ław, głowach widzów, muskając jednego z oskarżonych, który mimowoli poddawał się tej delikatnej pieszczocie słońca i uśmiechał się blado. Obok siedział towarzysz niedoli, jakby pogrążony w apatii i bezruchu, czemu ulega prawie każdy po dłuższym przebywaniu w zamknięciu przymusowym... Ci zaś siedzieli do sprawy już sześć miesięcy! Długie miesiące spędzone w niepewności, w rozterce czy będą wolni, czy znów zmieszają się z tłumem szarych ubrań, wygolonych głów i numerów bezimiennych!

Jakież diametralne różnice dzielą te trzy grupy aktorów rozprawy sądowej: sędziów i adwokatów, prokuratora i podsądnych. Spokój i równowaga ducha, trema i skrępowanie, a wreszcie lęk i niepokój! Świadkowie zaś to znowuż inny świat! Wśród publiczności dwie obok siebie siedzące kobiety w chustkach, wpatrzone w podsądnych, choć ci, jak się zdawało, udawali, że je nie widzą.

— Imię? Nazwisko? Wiek? Czy przyznaje się do winy?

Generalia oskarżonych. Nie przyznają się do winy, nie rozumieją zupełnie aktu oskarżenia. Wszak nie są winni, nie kradli portfelu z ośmiuset złotymi.

— Czy byli karani?

— Tak.

— Ile razy?

— Było tego parę razy! Czyż człowiek kiedy uchowa się bez wyroku! — rzuca sentencjonalnie ten z brzegu, uśmiechnięty, jakby pod wpływem delikatnego promienia słońca, co go chyłkiem muskało, czuł w sobie objawienie innego życia.

Pierwszy świadek. Posterunkowy Czesław Iwanicki.

W postawie na baczność opowiada, jak pogonił za podsądnymi i jak ich ujął: jednego bez marynarki, a drugiego w marynarce. Zeznaje zwięźle, dobitnie, jakby składał meldunek. Służbista. Czy widział, jak kradli? Nie! Skądżeby! Czemu więc ich aresztował? Bo poszkodowany wskazał mu ich uciekających, jako winowajców. Czy rozpoznaje ich? Odwrócił się bokiem ku ławie oskarżonych, chwilę przyglądał im się uważnie, jakby chciał podkreślić, że zdaje sobie sprawę z doniosłości swoich zeznań, i zwracając się znów do trybunału, spokojnie kończy: „Tak, ci sami".

Następny świadek. Staje teraz człowiek z innego świata: wytwornie odziany, starszy, siwy pan. Słusznego wzrostu, zażywny, o czerstwej twarzy i pogodnym wejrzeniu. Anglez, umiarkowane ruchy rąk, spokój w postawie i jakaś zdecydowana świadomość własnej wartości. Jest jasną plamą na szarym i niemiłym tle sprawy. Wprowadza ton umiaru i porządku społecznego, którego jest oczywistym symbolem. Jasne, pogodne spojrzenie godnie podniesionej kształtnej głowy, pokrytej mlecznym, gęstym włosem, rozdzielonym symetrycznie na dwie równe części, wzbudza w całej sali niezamącone niczym zaufanie. Na ławie oskarżonych zamiera wszelki ruch, czworo oczu wpatrzone, jakby urzeczone, nie czuje się, by oddychali; prokurator poprawił się na fotelu w jakimś błogostanie: główny świadek oskarżenia, sam poszkodowany, niewątpliwy i niezbity filar świetnie opracowanej mowy oskarżycielskiej. Obrońcy przysiedli apatycznie: ten świadek nie da im powodu do żadnej wdzięczniejszej roli! Przeciwnie — jego zeznania to woda na młyn oskarżyciela publicznego, który, niewątpliwie z jego wynurzeń ukuje ostrą broń przeciwko tym dwom...

— Czy strony się zgadzają, by świadek zeznawał bez przysięgi?

— Tak — rzuca prokurator.

— Nic nie mam przeciwko temu.

— Nie oponuję — szepce od niechcenia, ledwie unosząc się z ławy, drugi obrońca.

Ten świadek wzbudza, niewątpliwie, zaufanie i jest dziwnie symetrycznie dopasowany do panów sędziów, ba, do całego wymiaru sprawiedliwości.

— Z zawodu?

— Obywatel Ziemski.

— Czy świadek zna dobrze stolicę?

— O tak. Chodziłem tu do szkół, przy tym często przyjeżdżałem do miasta, mam tu rodzinę, interesa...

— Niech świadek opowie sądowi, jak to było. Świadek musi mieć na uwadze, że, chociaż niezaprzysiężony, winien zeznawać całą prawdę, nic nie ukrywając, gdyż w przeciwnym razie grozi kara więzienia...

— Krytycznego dnia wsiadałem do autobusu miejskiego na przystanku u rogu ulicy Leszno i Przejazd — zaczął głosem równym, modulując go mile dla ucha, — gdym ledwie stąpnął pewniej na przedni pomost, uczułem jakieś dotknięcie w okolicy — proszę mi wybaczyć Wysoki Sądzie, że użyję trochę nieprzyzwoitego ruchu — tu wskazał ręką na tylną kieszeń spodni, odchylając długą połę surduta — wyczułem pod dotknięciem ręki brak portfelu, w którym miałem naówczas osiemset złotych. Zrobiło się mi niemiło. Nietyle chodziło mi wtedy o stratę tej sumy, ile o niewygodę, spowodowaną brakiem pieniędzy w czasie parudniowego pobytu w stolicy. Myśl ta jednak błysnęła w mojej świadomości tak szybko, jak drobny ułamek sekundy. Jednocześnie pasażerowie, zauważywszy mój ruch ręką i nieme zdziwienie, rzucili pytanie: Co, okradli pana? — Tak, odrzekłem. ...„A to właśnie oni, o, o, skryli się za budką z wodą sodową!" — Zawołano w kilka głosów, wskazując mi jednocześnie jakieś dwie sylwety. Raczej wiedziony jakimś instynktem w pogoni za zrabowanym mi dobrem, aniżeli w dążeniu do ścigania przestępców, zaryzykowałem skok, tym bardziej, że autobus właśnie ruszył z impetem, i znalazłem się, party jakimś impulsem działania, tuż przy tych jegomościach. W pierwszej chwili byli widocznie zaskoczeni, niespodziewając się mojego zjawienia i, gdy chwyciłem za rękę jednego z nich, o, tego— tu wskazał na tego z brzegu ławy, którego już słońce brało w silniejsze posiadanie — zaczął mi się wyrywać, szamotać i nagle uczułem w ręku samą marynarkę, a z niej wysunął mi się zatrzymany i jął uciekać razem z drugim w dół ulicy Przejazd... Szczęściem podwinął mi się policjant, któremu wskazałem uciekających, jako winowajców mojej straty portfelu... Tenże pogonił za nimi i ujął ich, ale niestety, nie znaleziono już przy nich portfelu, ani pieniędzy...".

Zamilkł. Zdawało się, że skończył. Sprawiał jednak wrażenie, że ma jeszcze coś do powiedzenia, ale nie wie, jak zacząć.

— Proszę Wysokiego Sądu, wydaje się, że to już wszystko, co miałbym zeznać, jako poszkodowany. Jednak mam pewne wątpliwości, bo tu zaczyna się jakaś groteskowa strona całej tej niemiłej przygody".

Na ławie oskarżonych zamarło wszelkie życie, adwokaci wyrwani tym niespodziewanym zwrotem koronnego świadka oskarżenia z dotychczasowej apatii nawpół unieśli się z ławy, prokurator poruszył się niespokojny, niepewny, z czym niespodziewanym wyskoczy starszy pan.

— Bo to proszę Wysokiego Sądu — lekko zażenowany ciągnął swoje nowe zeznania — w dwa tygodnie później po opisanym tu przeze mnie wydarzeniu poleciłem służącej oczyścić ubranie, które wówczas miałem na sobie i przygotować je do włożenia. Gdym się w nie ubrał, uczułem, że coś mi ciąży w tylnej kieszeni spodni: był to właśnie ów portfel, a w nim osiemset złotych!...

— Co, znalazł pan w spodniach skradziony portfel z pieniędzmi? — poderwał się zaskoczony tym niezwykłym wystąpieniem przewodniczący. Adwokaci spojrzeli na siebie tryumfująco, prokurator się zmarszczył, a podsądni zaszeptali coś żywo ze sobą. Wśród publiczności ktoś westchnął głęboko i głośno, jakby mu z piersi jakiś ciężar spadł.

— Tak, znalazłem, a co dziwne, że nie umiem sobie tego do dziś dnia wytłumaczyć.

Nastąpiło ogólne odprężenie. Świadek siadł opodal mnie. Świeżą chustką, przepojoną zapachem kwiatowej wody kolońskiej, wycierał zroszone potem czoło.

— Jaki jest wniosek pana prokuratora? — padło pytanie z fotela prezesa trybunału.

— Wobec tak oczywistego zeznania głównego świadka oskarżenia, a jednocześnie poszkodowanego cofam akt oskarżenia i wnoszę o uniewinnienie! — Wyraźnie wyczuwało się w głosie oskarżyciela publicznego nutę rozdrażnienia, czy zawodu.

Przewodniczący zwrócił się do sędziego po lewej stronie, poszeptał z nim parę chwil, odchylił się z kolei do sąsiadów z prawej strony, wreszcie obydwaj wotanci skłonili się ku prezesowi i we trzech radzili krótką chwilę.

Obrońcy szeptali jednocześnie ze sobą, chrząkali, jakby przygotowując się wystąpić na wezwanie trybunału. Oskarżeni nie patrzyli już ani na trybunał, ani na prokuratora, lecz wyzywająco kiwali głowami w kierunku publiczności w tę właśnie stronę sali, gdzie siedziały owe dwie kobiety w chustkach. Radość biła z ich ócz, uśmiech zadowolenia rozlał się szeroko na ich twarzach bladych, lekko pożółkłych od dłuższego siedzenia w celi więzienia śledczego.

— W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej — „proszę wstać" — krzyknął woźny sądowy, publiczność się zerwała...

— Tak, proszę Was, — kończył pan Józef, zostali obydwaj uniewinnieni.

— Jakto, przecież pasażerowie widzieli, jak wykradali portfel...

— A więc napróżno przesiedzieli do sprawy sześć miesięcy?

— Powinni z kolei zaskarżyć tego starego safandułę o bezpodstawne rzucenie na nich oskarżenia i zażądać odszkodowania! — gorączkowano się.

— Uspokójcie się moi drodzy! — ciągnął uśmiechnięty tajemniczo pan Józef. — Przecież ci dwaj byli winni! — rzucił nagle.

— Co, winni?

— Przecież sam poszkodowany przyznał się, że nie skradziono mu wówczas portfelu i tych ośmiuset złotych!

— Tak, przyznał się, racja, ale czemu?

— No, mów pan prędzej, czemu?

Otóż, przed rozpoczęciem rozprawy poszedłem do pokoju świadków na papierosa. Podsłuchałem wtedy rozmowę między owymi dwiema kobietami, a tym starszym panem, jak się później okazało, poszkodowanym. Kobiety były żonami owych rzezimieszków. Błagały one starego, by się nad nimi i ich dziećmi ulitował, nie gubił ich mężów, bo cierpią już i tak straszną nędzę, a jednocześnie wręczały mu osiemset złotych, ucząc, jak ma zeznawać. Stary przyrzekł im wówczas, że, o ile nie będzie zaprzysiężony, zezna, jak o to proszą. Ot i wszystko!"

— A to skandal!

— To szubienicznik!

— Ładny numer z tego starego! — gorączkowali się słuchacze.

— Czyż jednak źle zrobił? Czyż miał ich pakować na dłużej do kryminału? Przecież przesiedzieli do sprawy, jakby nie było, sześć miesięcy w więzieniu?!!

— A zresztą, czyż kara więzienia oduczy ich kraść, takich recydywistów? Przecież to ich zawód?

— Panowie, stop, alez to nie o to chodzi?

— A, o co?!! — zawołano jednomyślnie.

— A właśnie: powiedzcie, o co?!!!

KONIEC.

P. U. K.

Dnia 25/I 1937 r. obecna dyrektorka P.U.K. p. Julia Wysocka odbyła pogadankę radiową na temat „Co nam daje Powszechny Uniwersytet Korespodencyjny", dalej, że Z.N.P wycofał się jesienią r. ub.

Myślą przewodnią obecnej dyrektorki jest przekształcenie P.U.K.-u na stowarzyszenie oświatowe. W czerwcu r. u. złożono podanie do Kom. Rządu z prośbą o zalegalizowanie Stow. pod tą samą nazwą. W najbliższych dniach podanie to zostanie zatwierdzone.

Min. W.R. i O.P. rzeczywiście daje pewne znikome subsydia na całokształt prac samokształceniowych, prócz tego drobne subsydium na bezpłatne rozsyłanie pożytecznych wydawnictw P.U.K.-u według rozdzielnika ministerstwa. Szczupłe środki na istnienie tej pożytecznej placówki zdobywa się drogą skromnych opłat za naukę. Zaznaczyć wypada, że opłaty te nie przewyższają opłat kursów dokształcających, choć P.U.K. wymaga specjalnego opracowania. Kurs składa się z 11 zeszytów. Za cały kurs przygotowawczy, obejmujący 4 kl. szkoły powszechnej, uczeń płaci zaledwie 25 zł., za cały kurs szkoły powszechnej uczeń płaci 18 zł. miesięcznie. Kurs trwa 10 miesięcy — i tu są stosowane znaczne ulgi.

Kurs całej klasy gimnazjum wynosi 120 zł., w zależności od czasu uczeń płaci ratami od 12 do 25 zł. miesięcznie...

Jeśli chodzi o kursy nauki obywatelskiej, to, wynosiło to zaledwie od 1.50 zł. do 3 zł. miesięcznie, w ciągu normalnych 10 miesięcy. Kurs ten subsydiował K.O.P. i Min. Oświaty.

P. Julia Wysocka, za swą pracę niepodległościową była więziona, jako studentka. Obecnie wiele pracuje naukowo, będąc absolwentką wydziału matematyczno-fizycznego. Od szeregu też lat poświęca się pracy pedagogicznej.

K.

Tydzień ubiegły

Emocjonujący nas wszystkich, tak niedawno jeszcze, proces o otrucie własnych dzieci przez Grzeszolskiego, znalazł swój najmniej oczekiwany epilog. Grzeszolski, wraz ze swą drugą żoną, popełnił samobójstwo w Krakowie.

Zrozumiałe, że samobójcza śmierć Grzeszolskiego nie przynosi żadnego dowodu, ani winy Grzeszolskiego, ani przeciw jego winie. I nie to wcale nas w tej chwili interesuje.

Interesuje nas w tej chwili dziwne i niepojęte wprost igranie ludzkimi nerwami, lekceważenie samego człowieka.

Pomyślmy. Aresztuje się człowieka pod straszliwym zarzutem otrucia własnych dzieci. Podczas długiego żmudnego śledztwa człowiek ten cały czas przebywa w więzieniu. Po tym odbywa się proces. Więzień, na rozprawie, wciąż powtarza, że jest niewinny, że jest ofiarą ludzkiej złości.

Na pierwszej rozprawie nie dają mu wiary i zostaje skazany. Powraca więc znów do więzienia, gdzie w długie godziny samotności myśl jego powraca nieustannie do sprawy. Dzień w dzień, noc w noc myśl skazanego powraca nieustannie do tego jednego zagadnienia, w oczekiwaniu na nową sprawę, w innej instancji, podczas której będzie słyszał nową porcję piętnowań przez prokuratora i część świadków i idealizowanie przez obrońcę i drugą część świadków.

Dnie zmieniają się w tygodnie, a tygodnie w miesiące, zanim człowiek napiętnowany jednym wyrokiem, wyjdzie z więzienia, ale nie na wolność, lecz na nową rozprawę.

Przeżycia jego z okresu uwięzienia — nikt chyba nie zaprzeczy — są straszliwą pokutą. Czy zasłużoną?

W drugiej instancji — wyrok uniewinniający. Sąd za tym orzekł, że to wszystko, co przeszedł człowiek w okresie śledztwa, podczas pierwszej rozprawy, w długie dni oczekiwania nowej rozprawy, aż do tego wyroku uniewinniającego, — wszystko to człowiek ten przeszedł, wszystko to przecierpiał — niewinnie.

Wypuszczony na wolność, choć w części zrehabilitowany — nie koniec jednak jest jego męki. Śmierć jego dzieci nadal jest zagadką. Zagadkę tę ma rozwiązać jeszcze nowy proces, jeszcze w wyższej instancji sądowej.

I ta oto wyższa instancja niespodzianie zawyrokowała: winien śmierci swych dzieci.

Tymczasem człowiek ten — abstrahując od tego czy jest winien — miał dość tego przerzucania jego sprawy życia i śmierci z jednego sądu do drugiego. Może był winien — chciał w ten sposób uniknąć kary, a może był niewinny i nerwy jego nie wytrzymały tej perspektywy męki siedzenia w więzieniu, w oczekiwaniu na ponowne rozprawy sądowe, na nowy koszmar ludzkiej złości.

Wszystko to być może. Dość, że człowiek popełnia samobójstwo. Odchodzi na zawsze. Odchodzi od tych spraw, od tych ludzi, co go bronili, i od tych co go piętnowali.

I jak wymowny jest początek listu Grzeszolskiego, który cytuje prasa warszawska.

„Odchodzimy stąd dlatego, że mamy już dosyć widowiska, które z nami urządzano. To, cośmy przeszli, żadne serce ludzkie przejść nie było w stanie...“

„Mamy dość widowiska...“ — „Żadne serce ludzkie tego przejść nie jest w stanie...“

Ile w tych słowach tragizmu. Tragizmu prostego, nie napuszonego, a jednak tak jasno odzwierciadlającego te wszystkie okropne przejścia, jakie musiał doznać człowiek napiętnowany śmiercią swych dzieci.

Człowiek zginął. Zagadka zbrodni została jednak nadal zagadką. Wątpimy nawet, czy będzie ona kiedykolwiek rozwiązaną. Jaki za tym jest wynik tych licznych rozpraw, śledztwa, męczarni człowieka?

Prawo jest tym, przed czym każdy schyla głowę. Nikt nie ma zamiaru tego kwestionować. Coś jednak jest stanowczo nie w porządku ze sposobem przeprowadzania spraw tak zawiłych, tak skomplikowanych, tak wyczerpujących szalenie zainteresowanych.

Pomyślmy bowiem, co by było, gdyby w każdej więcej skomplikowanej sprawie sądowej, jedna ze stron miała zawsze zbyt słabe nerwy. Zawsze wówczas takie sprawy kończyłyby się nietylko różnymi wyrokami różnych instancyj, ale także samobójczą śmiercią stron.

Na tym nie może nikomu zależeć. Nie może nikomu zależeć, aby rzucać najboleśniejsze sprawy ludzkie na ulicę, aby można nimi było poniewierać, aby można było je piętnować.

Te zagadnienia domagają się stanowczo jakiejś radykalnej reformy. Sprawy tak tragiczne, jak sprawa Grzeszolskiego, nie może być rozpatrywana tylko z suchego, formalnego punktu. W takich sprawach, naszym zdaniem, nie może być miejsca na zasadę „dura lex, sed lex“. Tu musi wchodzić prawo, musi wchodzić jednak i człowiek. W takich sprawach prawo może być tylko zarysem lekkim, subtelnym zarysem do sądu żywego człowieka, sądzącego żywego człowieka.

W takich sprawach musi występować nie rzecz nienaruszalna, martwa i niezmienna, lecz życie.

Ignis

Czyżby naprawdę?...

...przystąpiono do wydania albumu karykatur działaczy gospodarczych, a patronuje ponoć temu przedsięwzięciu b. min. Strasburger? Do wszystkich więcej znanych działaczy gospodarczych chodzą obecnie karykaturzyści i proponują zrobienie karykatury do tego albumu. Koszt karykatury nie duży — tylko 100 zł. Jeśli jednak fizys jakiegoś działacza gospodarczego spodoba się karykaturzyście, to po pewnym targu, można być „zrobionym“ i za 15 złotych.

*

...Sen. Karszo-Siedlewski uważał, że jeszcze za mało zajmuje stanowisk? Ostatnio wszechstronny Senator, wytwórca znakomitej wódki, stanął na czele spółki powierniczej „Prowidencia“.

*

...arystokratyczny zarządca jednego z pierwszorzędnych hoteli warszawskich został zwyczajnie nabrany „na pożyczkę“ przez notorycznego kryminalistę? Wspaniały arystokratyczny hotelarz poszukiwał większej pożyczki, wynoszącej ponoć sumę 150 tysięcy złotych. Dowiedział się o tym pewien łobuzina, który zatelefonował, że może wystarać się o pożyczkę tej sumy, pod warunkiem jednak wyasygnowania większej kwoty na „koszty“. Arystokratyczny hotelarz wypłacił łobuzowi 10 tysięcy złotych, ale, zrozumiałe, że pożyczki nie otrzymał.

*

...kasjerka na klinice dentystyki zachowawczej Akademii Stomatologicznej nie mogła być grzeczniejszą? Starszawa ta dama jest mocno zgryźliwą i zawsze musi każdemu zrobić jakąś uwagę. Studenci znoszą to z pokorą. Co jednak będzie, jak jakiś pacjent, którego zbyt mocno bolą zęby straci cierpliwość.

*

...hotel sejmowy cieszył się ostatnio zwiększoną frenkwencją. Panowie suwereni do tego stopnia umiłowali sobie zazwyczaj spokojny i cichy hotel sejmowy, że dotychczasowych, stałych lokatorów, nie mających nic wspólnego z Sejmem, usunięto.

Ani żyć, ani umrzeć

„Dobrowolne“ potrącenia z pensyj urzędniczych

Dla wielu bezrobotnych zdobycie jakiejś posady jest zapewne szczytem marzeń. Zdobycie przytym posady nie prywatnej, ale stałej, pewnej posady państwowej, jest niewątpliwie już szczytem szczytów...

Tymczasem...

Przyjrzyjmy się tym, którzy zajmują już te „wymarzone“ posady państwowe.

Naturalnie, nie zajmiemy się tutaj osobą i gażą jakiegoś dygnitarza, ale zwykłego, „szarego“ człowieka, którejś tam, dziesiątej kategorii.

Ten „szary“ człowiek oficjalnie otrzymuje 235 zł. pensji miesięcznie. Mówimy, oficjalnie, gdyż naprawdę dostaje na pierwszego tylko 189.08 zł. Jak widzimy zatem, tak zwane piękne potrącenia, wynoszą skromną sumkę 45.92 zł.

Dziwicie się skąd tak dużo? Zaraz policzymy.

A więc „szary człowiek dobrowolnie opłaca składkę LOPP. — 1 zł.
dobrowolnie opłaca Ligę Morską — 0.50 zł.
dobrowolnie opłaca Pol. Czerwony Krzyż — 0.25 zł.
dobrowolnie płaci na Komitet Uczczenia pamięci Wielkiego Marszałka — 1.17 zł. (½% uposażenia)
dobrowolnie płaci na P.W. — 1 zł.
dobrowolnie płaci specjalny podatek — 23.50 zł.
wreszcie płaci miesięczną składkę na swój związek zawodowy — 2.50 zł.
Razem 45.92 zł.

Widzimy za tym jak ideowych i idealnych mamy urzędników państwowych. Każdy dobrowolnie (co za czarowne słowo) płaci liczne składki, każdy z nich bez zmrużenia powieki zgadza się na liczne te dobrowolne potrącenia mimo, jak w cytowanym wypadku, że ma żonę i troje dzieci.

I my jeszcze narzekamy na materializm społeczeństwa.

Najgorsze jednak, że taki urzędnik siedzi po uszy w długach i nigdy chyba z nich nie wybrnie. *Ma.*

Dla dobra społeczeństwa

Ubezpieczalnia — fabryką zdrowia

WIEM WSZYSTKO, mając na celu oczyszczenie panującej u nas atmosfery, wykazuje stale różne mankamenty naszej rzeczywistości, odważnie atakując nawet najmocniejszych ludzi, najmocniejsze instytucje.

Mając odwagę atakować, mając odwagę wykazywać braki lub nawet złą wolę w postępowaniu innych, mamy również odwagę przyznać się do błędu, jeśli go popełnimy.

Kto z Was Czytelnicy bez winy, niech ten pierwszy za to rzuci w nas kamieniem... Gdybyście jednak wiedzieli, jak często zwracają się do Redakcji ludzie poważni, ludzie mający niejednokrotnie duże zasługi, którzy nagle w małostkowym zaślepieniu, wykorzystując swe stanowisko lub powagę, świadomie wprowadzają w błąd swymi informacjami, byle tylko się zemścić lub uderzyć kogoś sobie niemiłego — z pewnością łatwo zrozumielibyście rzadkie wypadki nadużycia naszego zaufania. Nieufność do informacji ludzi najpoważniejszych — jest u nas teraz najpoważniejsza...

Dzisiaj pragniemy naprawić mimowolną krzywdę, jaką uczyniliśmy naczelnemu lekarzowi Ubezpieczalni Warszawskiej i jego zastępcy.

W artykule naszym p. t. „Ubezpieczalnia na rozdrożu“ podnieśliśmy zarzucanie lekarzy domowych bezdusznymi okólnikami, które tylko stwarzają „zatęchłą atmosferę“.

Obecnie mieliśmy sposobność zapoznać się bliżej z pracą Ubezpieczalni i jej naczelnego lekarza i zastępcy naczelnego lekarza.

Stwierdziliśmy, jaką tytaniczną wprost pracę wykonywują ci ludzie, musząc myśleć i dbać o przeszło półmilionową armią ubezpieczonych członków i ich rodzin.

Do jakiej doskonałości doprowadzono pracę w tej instytucji wystarczy chyba fakt, że według danych statystycznych, niedokładności wykazują tylko 0.003 procent!

Pomyślmy, na prawie 500.000 ubezpieczonych, gorzej, lub źle obsłużonych było tylko 0.003 procent.

Najlepiej zapewne odczują powagę tej małej cyfry, ludzie, obeznani z techniką, gdy porównamy ubezpieczalnię z olbrzymią fabryką, której remament wykazuje się cyfrą 0.03 procent.

Nieznaczny ten procent braków w działalności ubezpieczalni odczuwany coprawda najżywiej. Ale, mój Boże, już jest taka natura ludzka, że może widzieć tysiące i dziesiątki tysięcy dobrych przykładów, a nie zwróci na nie uwagi. Jeden wypadek, jedno faux pas, a wówczas triumfuje złość ludzka.

Ewangeliczna belka w swoim oku z zdźbłem w oku bliźniego....

Mając sposobność zapoznać się bliżej z działalnością Ubezpieczalni Warszawskiej i jej naczelnych władz, przekonaliśmy się o wielkim poświęceniu się ludzi, stojących na czele tej instytucji, zmuszonych myśleć i pracować nie tylko dla dobra ubezpieczonych, ale i dla dużej liczby lekarzy, pracowników, którzy są właśnie dla tych ubezpieczonych.

Jak też niesłusznym był nasz zarzut bezduszności kierujących czynników Ubezpieczalni, mieliśmy okazję przekonać się czytając choćby okólniki tej instytucji.

Stwierdziliśmy z prawdziwą radością, że każdy z nich napisany był pod kątem widzenia dobra ubezpieczonego i ułatwiania pracy lekarzy, tak domowych, jak obwodowych czy okręgowych.

Chcąc zapoznać naszych Czytelników bezstronnie i bliżej z działalnością tej olbrzymiej fabryki zdrowia, jaką jest Ubezpieczalnia Warszawska, WIEM WSZYSTKO w najbliższym czasie zamieści reportaż z pracy tej instytucji.

h.

Dokąd warto, dokąd nie

„WIELKA MIŁOŚĆ BEETHOVENA" (Kino „Atlantic"). Rzadko zdarza się, aby recenzent filmowy mógł powiedzieć, że film jakiś trzeba koniecznie zobaczyć. Takim filmem jest jednak „Wielka Miłość Beethovena", która stanowi wielki triumf dwu wspaniałych indywidualności artystycznych: znakomitego reżysera Abla Gance'a, który powrócił do swojej najlepszej formy z przed laty, oraz naprawdę największego aktora filmowego ostatnich czasów — Harry Baura, którego gra w roli Beethovena jest czymś wprost niezwykłym. Film obfituje w epizody przepiękne. Wszyscy aktorzy stanęli na wysokości zadania: obok Harry Baura ukazują się Jean Debucourt (hrabia), Lucien Rozenberg (ojciec Julii), Pauley (brat Teresy) oraz Andrè Nox, jedna z największych sław filmu niemego, w małej rólce Humphrolzu. Słabsze są kobiety: Jany Holt (Julia) i Annie Ducaux (Teresa). Pod względem reżyserskim film jest majstersztykiem nielada. Scena głuchoty Beethovena — aktorsko i reżysersko-dźwiękowo — jest perłą, jakiej nie widzieliśmy oddawna w kinematografii. O muzyce nie ma co pisać. Jest Beethovena. To mówi wszystko. W sumie — film godny najgorętszego polecenia.

„DLA CIEBIE, MARIO!" (Kino „Roma"). Obraz ten, którego tytuł oryginalny brzmi „Ave Maria" jest filmem umoralniającym, aczkolwiek rozgrywa się w środowiskach, uważanych przeważnie za „gniazda rozpusty". Film posiada szereg zalet: po pierwsze jest to jeden z nielicznych filmów śpiewaczych, w których nie musimy oglądać kariery śpiewaka od chwili śpiewania na ulicy aż do sceny operowej, po drugie jest w nim kilka momentów naprawdę pięknych. Największy atut, to jednak natchniony śpiew jednego z najlepszych tenorów świata Beniamino Gigli, którego wykonanie „Ave Maria" i aryj z „Traviaty" jest ucztą artystyczną dla miłośników muzyki. Obok niego gra Käthe von Nagy. Jest tak samo poprawna, jak reżyseria Johannesa Riemanna. Na film ten mogą się wybrać miłośnicy pięknego śpiewu.

„SZAMPAŃSKI WALC" (Kino „Swiatowid"). W gruncie rzeczy jest to okropna bzdura, w której pomieszano wiedeńskich Straussów w karygodny sposób, stwarzając jakiegoś Franza Straussa, którego wnuczka Elza jest śpiewaczką, a oboje występują w sali balowej, w której stary Johann Strauss grał po raz pierwszy „Nad pięknym, modrym Dunajem" w obliczu cesarza, który przypomina Mikołaja II. Jednym słowem bigos wiedeńsko-europejski po amerykańsku. Niektóre dowcipy w dialogu i przemiły, jak zawsze Fred Mac Murray, nie mogą uratować tego kiczu, wyreżyserowanego zresztą poprawnie przez Edwarda Sutherlanda. Do pogrążenia tego filmu przyczyniają się jeszcze Gladys Swarthout, która śpiewa po francusku (dlaczego?!) w sposób zdecydowanie irytujący oraz niesympatyczny Jack Oakie. „Fenomenalna para taneczna" okazała się duetem bardzo przeciętnym.

Nad program — wybitnie udały film muzyczny Warnera „Zmiana Warty" (kolorowy), w którym widzimy poraz pierwszy młodziutką Sybil Jason, groźną rywalkę Shirley Temple. Ta cała szkocka historia jest naprawdę malownicza i miła. Wartoby ją powtórzyć przy jakimś lepszym filmie.

X. 27.—

Pod światło

Interesujące, dzięki Regnisowi, pismo żydowskie w języku polskim — Nasz Przegląd, w numerze z dn. 17 b. m., drukuje artykuł p. Kafnera zatytułowany: „Opowieść o pięknej cesarzowej austriackiej". W artykule tym czytamy:

„Gdy syn cesarza Franciszka Józefa I, arcyksiążę Rudolf zastrzelił naprzód siebie a po tym swą młodziutką i głęboko go kochającą baronównę Veiserę".

Mimo rosnącego antysemityzmu, trzeba przyznać, że w interpretacji p. Kafnera arcyksiążę Rudolf był gieroj co się zowie. Najpierw siebie zastrzelić, a potem dame, to arcytalent... Czy aby redaktor Naszego Przeglądu któremu powierzono zajustowanie artykułu p. Kafnera nie był przed tym na „kojzie" u Gertnera?

Stary Pies.

Szczęśliwa kolektura

Fortuna jest ślepa. Tam, gdzie rozstrzyga los, zawodzą wszystkie wyliczenia matematyczne, nawet teoria prawdopodobieństwa. Należy zatem kupować losy w tych kolekturach, którym sprzyja szczęście, tam gdzie pada więcej wygranych.

Do takich szczęśliwych należy Kolektura J. Dzierżanowskiego, Warszawa, Nowy Świat 64. Freta 5.

W ostatniej loterii padła u Dzierżanowskiego wielka wygrana w kwocie zł. 100.000 oraz szereg innych wygranych. Warto też podkreślić, że w kolekturze Dzierżanowskiego zdarzył się niezmiernie rzadko notowany wypadek, a mianowicie: na jeden numer padły w krótkim okresie czasu 3 wielkie wygrane: 100.000 zł. i dwa razy po 10.000 zł.

Ponieważ ciągnienie wkrótce się rozpocznie, radzimy jak najszybciej zaopatrzyć się w los tej kolektury, może ich bowiem zabraknąć, jak to już wielokrotnie miało miejsce.

K.

„Len Wileński" Jerozolimska 29

Placówka ta istnieje od 16 grudnia 1935 r., poprzednio przy ul. Marszałkowskiej 94 mieścił się w podwórzu sklep. Sklep nosi nazwę „Len Wileński" dla podkreślenia rodzaju eksponatów, jakie znajdują się na składzie, formalna zaś nazwa brzmi: „Centrala Bazarów Przemysłu Ludowego" Spółka z O.O. w Wilnie, a członkami centrali są bazary przemysłu ludowego w 6-ciu miastach, jak w Białymstoku, Brześciu n/B, Łucku, Nowogródku; Stanisławowie i Wilnie.

Największe pozycje w obrotach stanowią dostawy hurtowe, dokonywane wprost z terenów do Intendentur Wojskowych, Monopolu solnego, instytucji samorządowych oraz firm prywatnych. Ilościowo mniejszą pozycję stanowią sklepy detaliczne w stolicy i Poznaniu oraz we wszystkich Wojewódzkich, gdzie mieszczą się siedziby bazarów, ale jakościowo detal daje żywy obraz prawie całej wytwórczości ludowej, artystycznie wysoko stojącej i pociągającej harmonią barw i świetnością formy; dla naszych rolników w najuboższych kresowych połaciach hurtowe dostawy stanowią wysoki dopływ gotówki, tak rzadki na wsi, natomiast zwolennicy samodziałów lnianych i wełnianych detaliczne sklepy powitali z uznaniem, gdyż stanowią doskonały pokaz naszej wytwórczości ludowej.

W detalu należy zaobserwować dwie jakby strony: wiosenny-zebraniowy, obejmujący od najtańszych płócien na praktyczne ranne kostiumy i męskie koszule i garnitury do strojnych nadmorskich i lekkich ubrań eleganckiej klijenteli.

(L.)

„Łowiec" — Widok 22

Od przeszło 30 lat na terenie stolicy pracuje w dziedzinie myśliwskiej i sportowej, broniowo-amunicyjnej p. *Wilhelm Ziegenhirte*, a od r. 1931 prowadzi bez szumnej reklamy swoje przedsiębiorstwo łowieckie. P. Ziegenhirte żartobliwie oświadcza nam, że najlepszą bodaj reklamą jest jego właśnie osoba i znajomość fachu, sportu. P. Ziegenhirte był nawet na obecnej olimpiadzie, uprawia wszystkie sporty, a poprostu nie sposób wyliczyć tych wszystkich odznaczeń, które wiszą w sklepie na ścianie. Specjalnością „Łowca" jest broń myśliwska śrutowa i kulowa, poza tym widzimy piękne rewolwery różnych firm, przybory myśliwskie, i masa amunicji, oraz wszelkie dodatki do myślistwa wchodzące. Nie dziwimy się firmie „Łowiec", że cieszy się takim zaufaniem swoich klijentów.

(L.)

Nowoczesny Zakład Kąpielowy „Wisła"

Nowy Świat 23/25 (Pasaż Italia), II wyjście Chmielna 7

Z prawdziwą przyjemnością udajemy się do dyr. Nowoczesnego Zakładu Kąpielowego „Wisła" Feliksa Gąsowskiego po garść szczegółów o tej nowej, a tak potrzebnej naszej stolicy placówce. Zakład poświęcony został 25 listopada 1936 r., urządzenie zakładu składa się z 11 wanien z angielskiej porcelany, 9 natrysków wiedeńskich, których stolica nie posiadała, łaźni rzymskiej i parowej, oddzielnych kabin wypoczynkowych, oraz pięknego i gustownie urządzonego, rzęsiście oświetlonego dużego holu, który na przybysza odrazu robi wrażenie europejskie. Na miejscu fryzjernia męska i damska, dobrze urządzony bufet, szatni obsługa uprzejma, kulturalna i inteligentna. Łaźnia dla pań co środy, wanny i natryski codziennie. Pokój dla przyjęć klijenteli. Nad wszystkim czuwa osobno Zarząd T-wa „Progres" z nacz. dyr. inż. Bieńkiem i dyr. Gąsowskim na czele.

(L.)

Największy budżet świata

Uchwalony przez OCW. Związku S. R. R. budżet na okres 1937 r. stanowi, o ile chodzi o globalne jego cyfry, niewątpliwie unikat i rekord w historii państw, prowadzących swe gospodarstwo na zasadach budżetowania.

Cyfry uchwalone wykazują po stronie dochodów preliminowanych sumę 98.069 tysięcy milionów rubli, po stronie wydatków 97.119 tysięcy milionów r. Preliminarz za tym wskazuje nadwyżkę po stronie dochodów w sumie 950 milionów rubli. Jest to w porównaniu z budżetem na rok 1936 pewnego rodzaju postęp ile że budżet na rok ubiegły zamykał się, wedle preliminarza, po obu stronach sumą 78,715 tysięcy milionów r., a faktyczne zamknięcie rachunkowe za ten ubiegły okres budżetowy wykazało nadwyżkę dochodów o 1.800 milionów r. Wydatki bowiem w tym okresie przewyższały preliminarz o 3,5 miliarda r. dochody zaś o 5,7 miliarda, tak, że ostatecznie budżet zamknięty został nadwyżką 1,8 miliarda r.

Z najważniejszych pozycyj wydatkowych preliminowanych na rok bieżący, wymienić należy sumę preliminowaną na cele gospodarcze w wysokości 39,5 miliarda. Z kwoty tej przypada na przemysł 13,4 miliarda, 9 miliardów na rolnictwo, i 3 miliardy na państwowe zakłady zaopatrzenia. Reszta pozostała przypada na najrozmaitszego rodzaju przedsiębiorstwa, oficjalne punkty sprzedażne etc.

Na cele kulturalne i oświatowe wydatki preliminowane zostały na 35,6 miliarda, czyli o 5,3 miliarda więcej niż w r. 1936 (31,3 miliarda).

Wydatki na cele „obrony kraju" — określenie tym mianem zbrojeń, utarło się widocznie i w ZSRR. — preliminowane są w wysokości 30,103 miliarda r. wobec 14 miliardów i 9 milionów wydatkowanych na ten sam cel w r. 1936.

Z uzasadnienia tej podwyżki wynika, że podyktowana została koniecznością powiększenia efektyw, wojsk, jak nie mniej zarządzeniem, wzbraniającym na okres bieżącego roku budżetowego udzielania formacjom wojskowym jakichkolwiek obniżek na kolejach, okrętach i t. p. oraz wstrzymującym wszelkie dotychczas przyznawane tymże formacjom ulgi (obniżki ceny) przy zakupie materiałów pędnych, węgla, smarów, i t. d.

Budżet bieżący ZSRR stanowi pod względem swej wysokości nie notowany do dzisiaj rekord.

(a)

WIEM WSZYSTKO jest pismem ludzi odważnych

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Poznańska Nr. 38 m. 15. Administracja czynna codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 9 do 13 i od 15 do 18. Konto w P. K. O. Nr. 60.078

Redaktor **Henryk Sieciński** Wydawca **Wilhelm Tokarzewski** Druk. „Kolumna" Warszawa, Nowy Świat 39